

GRAHAM
MASTERTON

W tych ścianach
czai się śmierć... i ONI.

ZAKŁĘCI

ALBATROS

Tytuł oryginału:
WALKERS

Copyright © Graham Masterton 1989
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2017

Polish translation copyright © Paweł Wieczorek 2010

Redakcja: Lucyna Lewandowska

Projekt graficzny okładki:
Agnieszka Drabek / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: careszasere/Freeplik (*duch*);
studioworkstock/Freeplik (*korytarz*)

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa
wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Rozdział 1

Kiedy Jack sięgał do schowka po taśmę Santany, nie patrzył przed siebie jedynie przez ułamek sekundy, ale właśnie wtedy tuż przed samochodem przebiegło coś rozmazanego i szarobiałego, wyglądającego jak skulone dziecko w płaszczu przeciwdeszczowym.

Krzyknął i wdusił hamulec, jednak stopa ześlizgnęła mu się z pedału i musiał nadepnąć ponownie. Kombi z piskiem opon pomknęło poślizgiem mokrym asfaltem. Samochód wierzgnął, wpadł na pełne liści pobocze i z hukiem uderzył bokiem w pień dębu.

Jack zgasił silnik i próbował się uspokoić. Jezus Maria! Boże przenaświętzy!

Drobny jak mgiełka deszcz kłuł przednią szybę. Jack jechał dość szybko, nie dało się zaprzeczyć, osiemdziesiąt albo i dziewięćdziesiąt kilometrów na godzinę na wspinającym się dość stromo zakręcie bez widoczności, ale powietrze nie było aż tak bardzo zamglone, a on nie odwrócił wzroku od jezdni na dłużej niż ułamek sekundy... Jak mógł nie zauważyć wybiegającego dziecka?

– Jezus Maria... – powtórzył głośno. Nie mógł opanować dygotu ciała.

Wziął głęboki wdech, odpiął pas i wysiadł. Spojrzał do tyłu, na prawy bok samochodu, którym uderzył w drzewo. Po hałasie, jaki panował w środku wozu podczas jazdy, droga i otaczające drzewa wydały mu się dziwnie nieme. Ciszę przerywało jedynie kapanie kropli deszczu spadających ze zwisających nad drogą gałęzi i dobiegające z oddali *pii-o pii-o* jakiegoś ptaka.

Las, las i jeszcze więcej lasu. Właśnie z powodu drzew jego dziadek tak bardzo nienawidził Wisconsin. Był farmerem, a dla farmera wszystkie drzewa to pniaki. „Same pieprzone drzewa...” – narzekał zawsze.

Jack pociągnął nosem, wzdrygnął się i rozejrzał. Dzięki Bogu na jezdni nie leżało ciało dziecka, nie zauważył też niczego na poboczu. Żadnego zakrwawionego szarobiałego płaszcza przeciwdeszczowego. Żadnego poskręcanego adidasa.

Podniósł kołnierz marynarki i ruszył przez rozbełtane oponami błoto, starając się jak najmniej zaszkodzić swoim nowiuteńkim eleganckim półbutom. Powstałe po hamowaniu ślady opon pokrywała warstewka gumy, więc łagodnie padające krople deszczu nie przylegały do nich tak dobrze jak do reszty nawierzchni i można było wyraźnie dostrzec, w którym momencie został naciśnięty hamulec i gdzie samochód wpadł w poślizg. Cztery przecinające się ósemki, zaznaczone na asfalcie grubymi liniami. Ukląkł, żeby dokładniej im się przyjrzeć. Nic w układzie tych linii nie wskazywało, że samochód cokolwiek czy kogokolwiek potrafił.

Jack nie sądził, by w coś uderzył. Nie pamiętał żadnego wstrząsu – oczywiście poza uderzeniem w drzewo. Odwrócił się, osłonił dłonią oczy przed deszczem i obejrzał przód samochodu. Na przednim zderzaku nie było żadnych

śladów, reflektory nie zostały uszkodzone. Miał nadzieję, że nie zepchnął nikogo w paprocie i krzaki między drzewami. Słyszał wiele opowieści o potrąconych przez samochody ludziach, którzy leżeli kilka metrów od głównych dróg i umierali z wyziębienia.

Cofnął się jeszcze kawałek, złożył dłonie wokół ust i zawołał:

– Halo?! Jest tam kto? Halo!

Wstrzymał oddech i wyteżył słuch, ale usłyszał tylko nawoływanie tego samego ptaka co przedtem. Deszcz otulał wszystko dokoła jak szary welon. Trudno było uwierzyć, że dwadzieścia minut jazdy dalej znajduje się Madison, stolica stanu, a niecałe dwie godziny Milwaukee.

Jeszcze kilka razy zawołał: „Halo!”, ale nie doczekał się odpowiedzi. Serce przestało mu walić, oddech również powoli wracał do normy. Wyjął chusteczkę, otarł twarz i wydmuchał nos. Mimo chłodu jego koszula i bielizna były przesiąknięte potem.

To musiał być jeleni, a może koza. W każdym razie jakiś zwierzę. Daj spokój, Jack, bądź poważny, powiedział sobie. Co w taki deszczowy dzień miałyby robić w tym lesie dzieciak? Ciebie też by tu nie było, gdybyś nie musiał sprawdzić, co się dzieje ze starym letnim domem ojca nad Czarcim Jeziorem, a jechałeś tędy tylko dlatego, że ta droga skraca dojazd do Route 51 prawie o dwadzieścia pięć kilometrów.

No właśnie, co na takim pustkowiu miałyby robić jakiś dzieciak?

Mógłby jednak przysiąc, że widział poruszające się w biegu nogi, machające ramiona i podniesiony kaptur. Zdrowy rozsądek mówił mu, że to musiało być zwierzę, ale pamięć

wciąż podsuwała obraz skulonego dziecka w szarobiałym płaszczu przeciwdeszczowym, wyskakującego na jezdnię tuż przed maską samochodu.

Odczekał jeszcze kilkanaście sekund, po czym powoli, odwracając się co chwila, wrócił do swojego kombi. Był to ostatni samochód taty, electra rocznik 81 w wersji czerwony metalik. Jack odziedziczył go razem z letnim domem i apartamentem przy Jackson Park, którego pokoje były wypełnione zakurzonymi książkami i gazetami. Musiał je sprzedać, aby spłacić zaległe podatki ojca i uregulować należność za pogrzeb – zresztą i tak Maggie za nic by w nim nie zamieszkała, bo zawsze uważała, że rak jest zakaźny. Dorobek życia wypełnionego marzeniami i pracą stanowiło coś tak mało efektywnego jak kawał blachy do jeżdżenia i sterty papieru do czytania.

Tylne światła samochodu zostały rozbite i na gnijących liściach rozsypały się fragmenty połamanego plastiku. Kłapa bagażnika była wgnieciona, jej bok wykrzywił się jak warga Elvisa Presleya i choć Jack trząsał z całych sił, nie chciała się zamknąć. Ale przecież mogło być znacznie gorzej. Gdyby uderzył w dąb przodem wozu, na pewno nie wyszedłby z tego cało – albo nawet by zginął. Prawdopodobnie uratowało go właśnie to, że nie potrafił kontrolować poślizgu. Lepszy kierowca mógłby zginąć.

Wsiadł do samochodu i uruchomił silnik. Pasek wentylatora zaczął piszczeć, jednak poza tym chyba wszystko grało. Jack miał nadzieję, że jakoś dojedzie do Milwaukee, nieważne, że przy akompaniamencie Pfister Bierkeller Band.

Gdy włączał wycieraczki, wydało mu się, że coś mignęło za srebrną mgiełką wody pokrywającą szyby. Białawy zygzak między drzewami po prawej stronie. Kiedy wycieraczki

oczyściły szybę, popatrzył w tamtym kierunku, ale niczego nie zobaczył. Otworzył drzwi i wysunął głowę, żeby wyraźniej widzieć. Znowu – teraz był tego pewien – między drzewami przemknął prawie niezauważalny szarobiały cień.

Sięgnął na tylne siedzenie i wziął płaszcz przeciwdeszczowy. Coś było wśród drzew – coś albo ktoś – i omal tego czegoś nie rozjechał. Jeśli to zwierzę, nie mógł nic zrobić poza zgłoszeniem incydentu, ale jeśli dziecko, musiał się dowiedzieć, czemu biega samopas po lesie.

Wysiadł z samochodu, zatrzaskał drzwi i zaczął schodzić trawersem. Zbocze było pokryte grubą warstwą nasączonych wodą gnijących liści i przy każdym kroku ześlizgiwał się w bok. Kiedy dotarł na dół, jego buty były ciemne od wilgoci, a w spodnie moherowego garnituru powczepiały się kolczaste gałązki jeżyn. Zatrzymał się na chwilę, żeby uspokoić oddech i obtrzeć twarz.

– Cholera... – zaklął pod nosem.

Co go podkusiło, by złązić mokrym, porośniętym splątanymi krzakami zboczem w poszukiwaniu dziecka, które prawdopodobnie wcale nie było dzieckiem, ale czyjaś koza? Zamiast tego mógł jechać do domu, siedząc w suchym, ciepłym samochodzie i puszczając na cały regulator *Abraxas Santany*, żeby zagłuszyć pisk paska wentylatora.

*And I hope you're feeling better... and I hope you're feeling good!**

Odczekał jeszcze chwilę, pociągnął nosem i rozejrzał się. Wysoko w górze widać było matowoczerwony zderzak kombi. Teren na dole lekko opadał, ale zaraz zaczynała się

* Mam nadzieję, że czujesz się lepiej, mam nadzieję, że czujesz się dobrze.

ciemna rozpadlina porośnięta jeżynami i paprociami. Słychać było plusk płynącego gdzieś niedaleko niewielkiego strumienia, jednak pod ciężkim szarym niebem nie brzmiało to radośnie, lecz głucho i przygnębiająco.

Nie ma sensu kontynuować tych poszukiwań, kapitanie. Nawet jeśli szarobiały kształt był dzieckiem, na pewno go nie zabił, a jeśli kozą, nie miał szans jej odnaleźć, błądząc po tych wertepach w swoich nowych butach firmy Florsheim.

– Halo! – zawołał po raz ostatni. – Jest tam kto?

Znowu dygotał, ale tym razem z zimna. Musiał się też natychmiast wysikać. Stał przed kępą paproci i kiedy zaczął, w chłodnym powietrzu uniosła się para. Wydawało mu się, że jego pęcherz nigdy się nie opróżni. Gdy był mniej więcej w połowie, znowu ujrzał szarobiałą postać. Widział ją tylko przez sekundę, jednak znajdowała się teraz znacznie dalej – na dnie rozpadliny między drzewami.

– Hej! – zawołał. – Hej, ty! – Zapiął spodnie i znowu ruszył w dół. – Hej, dzieciaku, zaczekaj!

Ziemia pod jego stopami nagle zaczęła stromo opadać. Poślizgnął się i aby nie upaść, musiał złapać się jeżyn, których kolce rozerwały mu skórę na kciuku. Ssąc ranę, kulając i klnąc pod nosem, z trudem przedzierał się w głąb wąskiej doliny.

Ty głupi baranie, powiedział sobie. Powrót do samochodu zajmie ci teraz parę godzin.

Niech to cholera... pada coraz mocniej...

Zsunął się żlebem, którego dno pokrywały luźne kamienie, i znowu stracił równowagę. Próbował przytrzymać się paproci, ale zwałił się na plecy.

– Jasna cholera! – krzyknął. – Niech to cholera weźmie!

Podniósł się powoli, stękając z bólu. Przemoczone

spodnie pokrywała z tyłu warstwa zmieszanego ze żwirem błota, nowe buty nadawały się do wyrzucenia. Prawa dłoń wciąż krwawiła, a teraz jeszcze nabił sobie siniaka na łokciu.

Dzieciak czy nie dzieciak, czas wrócić na górę i jechać do domu.

Wyprostował się, głęboko zaczerpnął powietrza i wrzasnął:

– Hej, ty! Słyszysz mnie? Nie myśl, że będę cię szukał! Wybij to sobie z głowy! Jeśli się zgubiłeś, musisz sobie radzić sam! Słyszysz mnie?

Wszuchał się w otaczające go dźwięki, ale usłyszał jedynie echo własnego krzyku, szum deszczu i pluskanie strumienia.

– Cholerny dzieciak... – wymamrotał pod nosem. – Cholerny głupi... Co to może być, cholera... koza? Zresztą kogo to obchodzi?

Ledwie zaczął wspinaczkę w górę wąwozu, kątem oka ujrzał szarobiałą postać stojącą na skarpie po lewej stronie, najwyżej dwadzieścia metrów od niego. Nie poruszała się – po prostu stała wśród paproci. Zatrzymał się i wbił w nią wzrok. Zęby dzwoniły mu z zimna, ale tym razem nie miał ochoty krzyczeć.

– No to wreszcie cię mam, draniu... – wycodził i ruszył w górę przez jeżyny i paprocie.

Postać w szarobiałym płaszczu i podniesionym kapturze stała w miejscu, odwrócona do niego plecami. Nie obejrzała się, nawet nie drgnęła. A przecież musiała go słyszeć, bo wcale nie próbował się cicho zachowywać – parł w górę zbocza z takim impetem jak generał Patton i 3. Dywizja Pancerna.

Gdy znalazł się obok niej, również się nie poruszyła. Stała przy ogrodzeniu z drutu kolczastego, biegnącym trawersem w dół doliny. Zdecydowanie nie było to zwierzę, ale dziecko. Dziwnie zgarbione dziecko o zdeformowanym ciele. Jack poczuł się nieswojo.

– Dzieciaku – zaczął ostro, choć prawie już nie czuł złości. – Dzieciaku, omal nas obu nie zabiłeś... tam na górze, na drodze.

Zgarbiona postać w dalszym ciągu tkwiła nieruchomo przy samym ogrodzeniu. Jack stanął przy niej i przytrzymał się górnego drutu, by nie zsunąć się z powrotem w rozpadlinę.

Kiedy jednak dotknął postaci, zorientował się, że to wcale nie dziecko ani zwierzę. Złapał za „kaptur”, zerwał go z ogrodzenia i zobaczył, że to tylko nasączony wodą egzemplarz „Milwaukee Sentinela” z ostatniej niedzieli. Jakimś sposobem gazeta się rozwinęła i zatrzymała na słupku, tworząc coś, co nawet z bliska przypominało dziecko w kapturze.

Jack przez długi czas stał na wietrze, marszczył czoło i patrzył na trzymane w dłoni płachty przemoczonego papieru zadrukowane wiadomościami sportowymi. Nie potrafił sprecyzować swoich uczuć, ale jakimś dziwnym sposobem wszystko to wydawało mu się znacznie bardziej niepokojące, niż gdyby znalazł dziecko. Widział, jak szarobiała postać przebiega mu przed nosem przez szosę. Widział, jak zbiega w dół zbocza, do doliny. Ze żlebu w dole papierowa płachta wyglądała dokładnie jak dziecko w szarobiałym płaszczu przeciwdeszczowym. Jak, do pioruna, to dziecko mogło okazać się tylko gazetą?

Rozwinął mokre stronicę i popatrzył na datę. Wydanie

z ubiegłego piątku. Nic niezwykłego. Zmiał gazetę, zamachnął się i cisnął papierową kulę w krzaki. Po raz ostatni rozejrzał się po lesie. Ani śladu niczego, co choć odrobinę przypominałoby dzieciaka, którego – jak mu się zdawało – ścigał. Wśród paproci nie przemykała się żadna postać w szarobiałym płaszczu. Jack pociągnął nosem, przesunął grzbietem dłoni po czole i przygotował się do długiej wspinaczki.

Nagle między drzewami ujrzął coś, co przypominało kontur dachu. Wspiął się kilka metrów i obraz stał się wyraźniejszy. Miał przed sobą ogromny budynek z wieżyczkami z żółtej cegły, pokryty błyszczącym szaroniebieskim łupkiem, z długimi szeregami gotyckich okien. Co to mogło być?

• • •

Rozsunął drut ogrodzenia, pochylił głowę i przecisnął się na drugą stronę. Budynek stał po przeciwległej stronie doliny, jego wieżyczki kryły się między potężnymi dębami, więc choć był bardzo duży, dostrzeżenie go z szosy było niemożliwe.

Naturalne otoczenie ukrywało budynek przed światem jak zamek Śpiącej Królowy. Widać było, że jakieś dwadzieścia, może trzydzieści lat temu wycięto tu drzewa, teraz jednak Jack musiał przebijać się przez kolczaste krzewy i dzikie róże, a kiedy dotarł do grupy dębów, rosnących dwieście metrów niżej, na południowy zachód od budynku, poły jego płaszcza były w dwóch miejscach rozerwane, skarpety również miał w strzępach. Buty za sto siedemdziesiąt dolarów nadawały się tylko do wyrzucenia.

Najbardziej niepokoiło go dziwne poczucie, że został tu

doprowadzony. Jakby odkrycie tego budynku – dokładnie tego dnia i dokładnie o tej godzinie – było jego przeznaczeniem. Jakby ten budynek na niego czekał.

Kiedy był chłopcem, spędzał tu niemal wszystkie letnie wakacje – nad Lustrzanym Jeziorem, Czarcim Jeziorem albo nad jeziorem Wisconsin – i razem ze swoimi przyjaciółmi wędrował po okolicznych lasach, „eksplorując dżunglę”.

A jednak nigdy przedtem nie widział tego wielkiego domu ani o nim nie słyszał. Budynek był tak niezwykle i tajemniczy, że Jack bardzo żałował, że nie natknął się na niego jako jedenastolatek. Jakie wspaniałe zabawy mogłoby tu wtedy organizować z Dougiem McLeishem! Niezlomny Wiking! Człowiek w żelaznej masce! Dracula! Dlaczego musiał czekać na odkrycie tego domu aż do dziś, kiedy miał czterdzieści trzy lata, był żonaty i mieszkał w Milwaukee, prowadząc sieć warsztatów montażu tłumików?

Budynek wyglądał jak zamek, hotel albo ogromny, pretenjonalny dworzec kolejowy. Zbudowano go z tej samej bladożółtej cegły co browar Pabst na zachodzie Milwaukee – tej samej, która kiedyś przyniosła miastu przydomek Kremowe Miasto – w stylu austriackiego gotyku, z kwadratowymi wieżyczkami po pięć szpic każda na obu końcach kilkudziesięciometrowej fasady i obiegającymi cały budynek dekoracyjnymi balustradami z kutego żelaza przy rynnach.

Wszędzie były twarze. Na rynnach szare, odlane z ołowiu. Nad oknami w kolorze jasnej ochry, wykute z kamienia. Na rogach balustrad – z czernionego żelaza. Prawdopodobnie było ich ponad sto. Nie przypominały tradycyjnych gargulców, żadna z nich nie była paskudna ani groteskowo wykrzywiona. Wszystkie były spokojne i łagodne jak twarze świętych – miały jednak zamknięte oczy, jakby

przedstawiwały ślepców, ludzi pogrążonych we śnie albo zmarłych.

Jack precyzyjnie się między krzakami i wszedł na otaczający front domu żwirowy podjazd porośnięty bluszczem i trawą. Na zachodniej wieży bluszcz wspinał się do wysokości drugiego piętra, czepiając się cegieł niczym zaborcza kochanka.

Najwyraźniej budynek stał pusty od wielu lat, może nawet od dziesięcioleci. Rynny były mocno skorodowane, więc wypływająca z dziur woda, skapująca obok głównego wejścia, pozostawiła na ścianie rdzawą ścieżkę. Okna były ciemne, pokryte kurzem i puste, a wiele witrażowych szybek o skomplikowanych kształtach popękało. Między szpicami wieżyczek – i prawdopodobnie w niemal wszystkich kominach – tkwiły opuszczone ptasie gniazda.

Nad skrapianym drobnym deszczem budynkiem unosiła się aura cichej rozpaczy, dawno utraconych wspomnień i wytwornego cierpienia.

Jack skierował się do głównego wejścia, wszedł na schody i pociągnął za ciężką klamkę z brązu. Drzwi były zamknięte i choć na tym odludziu domowi raczej nie groziła inwazja wandalów, prawdopodobnie także zaryglowane od wewnątrz.

Obok drzwi znajdowała się rączka staromodnego dzwonka, którą należało pociągnąć – wykończona odlaną w brązie twarzą jakiegoś świętego z zamkniętymi oczami. Jack pociągnął, ale odpowiedziała mu cisza, jedynie z otworu w ścianie posypało się trochę rdzawego pyłu. Kiedy pociągnął ponownie, gdzieś we wnętrzu rozległ się ostry terkot, który trwał i trwał, jakby ktoś wściekle machał ręcznym dzwonkiem i nie mógł przestać.

Jack cofnął się gwałtownie. Boże... a jeśli jednak ktoś był w środku?

Wcale by się też nie zdziwił, gdyby oczy twarzy na ręczce dzwonka otworzyły się nagle i wbiły w niego pełne dezaprobaty spojrzenie.

Po chwili terkot ucichł i budynek znowu wypełniła cisza. Twarz na dzwonku pozostała spokojna i ślepa. Jack pokręcił głową, zły na siebie, że tak bardzo dał się ponieść wyobraźni.

Ruszył wzdłuż fasady do wschodniego rogu budynku. Próbował zajrzeć do środka przez jedno z okien, ale szkło było tak brudne, że nie dało się dostrzec niczego poza zamazanym konturem czegoś, co przypominało kanapę. Za rogiem trawa i chwasty sięgały mu niemal do piersi, więc podniósł z ziemi dużą gałąź, oderwał cienkie boczne gałązki i użył jej jako narzędzia do przebijania sobie drogi przez rozbuchaną roślinność. Indiana Jones. Stanley szukający Livingstone'a.

Cisza i dzikość otoczenia przypomniały mu czasy dzieciństwa. Zaczął gwizdać przez zęby, maszerując przez zielisko. Kiedy wystraszył wiewiórkę, przyłożył kij do ramienia jak strzelbę i udawał, że strzela do uciekającego na dąb gryzonia. Ba-bam! Ba-bam! Ba-bach!

Minął pomalowane na niebiesko, łuszczące się drzwi, które musiały prowadzić do kuchni. Po przyciśnięciu czoła do szyby zobaczył duży staromodny piec kuchenny i dwa wielkie zlewy z pionowymi kranami. Na ścianie wisiała oszklona szafka pełna białych talerzy i filiżanek.

Wyglądało to tak, jakby opuszczono ten stary budynek, wszystko w nim pozostawiając – meble, naczynia, dywany. Na parapecie kuchennego okna stał nawet wazon z bukietem

zeschłych chryzantem.

Z tyłu znajdowała się biegnąca przez całą szerokość budynku oranżeria o konstrukcji z kutego żelaza, teraz mocno skorodowanego – z wieloma wybitymi szybami oraz dachem pokrytym grubą warstwą liści i brudu. Z oranżerii schodziło się do ogrodu z rabatami w kształcie liści koni czyny, między którymi biegły żwirowe ścieżki. Wszystkie rabaty zarosły płataniną chwastów, a znajdująca się pośrodku pergola częściowo się zawaliła. Za ogrodem teren wznosił się tarasami w stronę lasu. Na zachodzie były korty tenisowe i odkryty basen o brzegach wyłożonych kafelkami.

Jack przeszedł wzdłuż oranżerii aż do kortów. Deszcz spowijał całą dolinę zimną mgłą, ale Jack osłonił dłonią oczy i prawie przez pięć minut wpatrywał się w dal. W pogodny letni dzień musiało tu być bardzo pięknie.

Zsunął się po mokrej, porośniętej trawą pochyłości na kort. Siatki zżerała pleśń i tkwiło w nich mnóstwo wysuszonych korpusów ptaków, które miały nieszczęście zaplątać się w oczka, jednak sam kort był w dobrym stanie i doprowadzenie go do stanu używalności nie wymagałoby zbyt wiele pracy.

Podszedł do basenu. Wyłożono go białymi kafelkami, a przy krawędzi dodano wzór – brązową winorośl. W jednej trzeciej wypełniała go czarnozielona woda, w której tuż pod powierzchnią leżało coś bladego i bezkształtnego. Jack ukląkł i próbował przyciągnąć to kijem do brzegu, ale nie mógł sięgnąć. Tracony przedmiot jedynie zabujał się w wodzie, lekko podskoczył i przekręcił. Mogło to być wszystko.

Jack wstał i obejrzał tył domu. Mnóstwo w tym potencjału, pomyślał. Ładny budynek, solidny. Znakomita lokalizacja. Dużo miejsca na sporty. Odnowiony i trochę

zmodernizowany, mógłby stać się najlepszym rekreacyjnym hotelem na całym Środkowym Zachodzie.

Powoli przeszedł przez kort i wrócił na front domu. W jego głowie rodził się już pomysł na biznes. Na nową karierę zawodową. Pomysł, którego realizacja wyrwałaby go z murów miasta i codziennej nudy Tłumików i Opon Reeda. Pomysł, którego realizacja dałaby mu wolność, spełnienie i prestiż, a także zapewniła dobrą zabawę – wszystko za jednym zamachem.

Jeżeli budynek przez tyle czasu stał pusty, oznaczało to, że albo nikt go nie chciał, albo nikt nie dostrzegł kryjącego się w nim potencjału. Powinno mu się udać go kupić za – ile? – pół miliona? Trzysta tysięcy? Może nawet mniej. Jego przyjaciel Morris Tucker z Menomonee Savings na pewno mu pomoże. Chodzili razem do Wisconsin Business College, w 1967 roku razem skończyli studia i w dalszym ciągu każdego lata trzy albo cztery razy jeździli na ryby, zawsze wyruszając z zatoki Whitefish – w kapeluszach z oklapłymi rondami, z sześciopakami piwa i kasetami Beatlesów odtwarzanymi na przenośnym radiomagnetofonie.

Z pewnością trzeba będzie włożyć w ten dom wiele milionów, zanim osiągnie standard międzynarodowego kurortu, gdyby jednak Morrisowi udało się stworzyć odpowiedni pakiet finansowy... Cholera, ryzykowne. Jak diabli. Ale co miał do stracenia, gdyby to nie wypaliło? Dom na przedmieściach Milwaukee, poobijany samochód i beznadziejnie przewidywalną przyszłość, w której nie czekało go nic poza tłumikami. Nie byłaby to strata, lecz wyzwolenie – nawet gdyby się nie udało i musiał wrócić do pracy w biurze.

Na wysokości zwirowanego podjazdu podszedł do ściany i przyłożył dłoń do mokrych cegieł. Czasem człowiekowi

– raz w życiu – trafia się wielka okazja. Jack był pewien, że znalezienie tego starego domu było właśnie taką okazją. Musiało być. Wystarczyło pomyśleć o tym, w jaki sposób został tu przyprowadzony. Przez zwiewaną wiatrem gazetę, która wyglądała jak biegające dziecko. Jeśli to nie było zrządzenie losu, to jak to nazwać?

W wyobraźni wyraźnie widział już błyszczący w letnim słońcu pięknie odnowiony budynek i oczyszczony teren. Elegancko ubrane pary spacerujące po oranżerii. Lądujące na tarasach helikoptery przylatujące z Chicago albo Milwaukee. Korty do squasha, szklany dach nad basenem, pole golfowe w wyciętej części lasu.

Wymyślił już nawet nazwę dla swojego hotelu: Merri-mac Court Country Club. Właściciel i prezes: Jack T. Reed junior.

Powoli zaczął odsuwać się od budynku. Tarł zziębnięte ręce i pociągał nosem. Zaraz po powrocie do domu będzie musiał się dowiedzieć, do kogo ten dom należy i ile będą za niego chcieli. Potem trzeba zamówić ekspertyzę budowlaną, aby się upewnić, czy konstrukcja nie ma wad, których usunięcie przekraczałoby wartość nieruchomości. Daj spokój, na pewno nie zabraknie ci wyczucia i rozsądku, powiedział sobie. Nie dasz się ponieść.

Wiedział, że nie ma powrotu. Jego życie właśnie zostało wywrócone do góry nogami. Nawet gdyby się okazało, że nie stać go na odrestaurowanie tego budynku, znajdzie inny i tak czy inaczej otworzy klub. Nawet gdyby miało go to zabić.

Odsuń się, Leona Helmsley*. Nadchodzi Jack Reed.

*Leona Mindy Roberts Helmsley (1920–2007) – amerykańska miliarderka

Po raz ostatni spojrzął na budynek, próbując go jak najlepiej zapamiętać. Kiedy już miał odwrócić głowę, w jednym z mansardowych okien na dachu na ułamek sekundy pojawiła się twarz. Bardzo blada i drobna, jakby dziecięca.

Zamrugnął, próbując strząsnąć z brwi i rzęs mączące wzrok krople deszczu. Było mu bardzo zimno i czuł ogarniające go zmęczenie, ale nie miał zwidów. Dokładnie widział to, co widział. Na górze na pewno pojawiła się twarz patrzącego na niego dziecka.

Nie bardzo wiedział, co powinien zrobić. Musiał to być ten sam dzieciak, którego zobaczył na drodze i który go tutaj sprowadził. Gazeta na ogrodzeniu to zbieg okoliczności, jeśli jednak w budynku faktycznie był dzieciak, co ma z tym zrobić? Budynek nie należał do niego, dzieciak też nie. Może powinien zadzwonić na policję? Małolat mógł być uciekinierem z domu albo znajdować się w niebezpieczeństwie.

Ale skoro w jakiś sposób dostał się do budynku, gdzieś musiały być otwarte drzwi albo okno. Nawet gdyby go nie odnalazł, mógłby przynajmniej rozejrzeć się po wnętrzu i sprawdzić, w jakim jest stanie.

Wrócił na tył domu i usiłował otworzyć drzwi balkonowe przy zachodniej wieży, jednak okazały się zamknięte od środka.

Spróbował szczęścia z drzwiami prowadzącymi do oranżerii. Z początku nie chciały ustąpić, ale kiedy zaczął do oporu naciskać klamki i pociągać, w końcu jedno z nich się otworzyły.

derka, która prowadziła sieć hoteli w Nowym Jorku i inwestowała w nieruchomości.

Zawahał się. Nawet samo chodzenie po cudzym terenie bez pozwolenia było naruszeniem prawa, jednak kiedy wejdzie do środka domu, będzie to nielegalne wtargnięcie. Choć budynek sprawiał wrażenie całkowicie opuszczonego, ktoś mógł w nim mieszkać i Jack musiałby się wtedy gęsto tłumaczyć.

Zapukał w okno.

– Halo! Jest tam kto?

W oranżerii było ciemno i cicho, wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu. Na podłodze leżał przewrócony żelazny stolik, wokół którego rozrzucone były kawałki rozbitnej zielonej doniczki – najwyraźniej spadła, kiedy stolik się przewracał. Pod ścianą naprzeciwko wejścia stała kolekcja wielkich ceramicznych urn, z których wystawały żółtawe pędy martwych roślin. W powietrzu unosił się zapach wilgoci i czegoś kwaśnego – jakby octu.

– Jest tu kto? – powtórzył Jack, ale poza monotonnym kapaniem wody, wpadającej przez dziury w dachu, w środku panowała kompletna cisza.

Daj spokój, skarcił się w myśli. Nikt tu nie mieszka. Może tylko jacyś dzicy lokatorzy, włóczędzy albo dzieciaki, które prysnęły z domu. Nikt, kto miałby tu większe prawo przebywać niż ty. Na pewno nikt z właścicieli.

Otworzył szerzej drzwi i wszedł do środka. Na podłodze było pełno piachu, który zgrzytał pod obcasami. Zatrzymał się na moment, po czym przeciął oranżerię i wszedł na dwa schodki przed drzwiami prowadzącymi do wnętrza głównego budynku. Na początku również stawiały opór, ale dało się je otworzyć.

Nic tu nie działa, pomyślał, przeciskając się przez wąską szczelinę.

Ogromne pomieszczenie, w którym się znalazł, wyglądało jak salon. Było tu mnóstwo plecionych kremowych krzeseł i kremowych stolików. Na niektórych z nich stały talerzyki i filiżanki z resztkami dawno wyschniętej kawy. Na pokrytej zieloną wykładziną podłodze walały się gazety i czasopisma. Jack pochylił się i podniósł egzemplarz „Collier’s Weekly”, na którego okładce była zapowiedź artykułu pod tytułem *Amerykański zespół Waltera Campa*. Pismo pochodziło z 1926 roku. Potem podniósł gazetę z nagłówkiem: POCZĄTEK PROCESU HALLA I MILLS z datą 21 czerwca 1926 roku.

Zatrzymał się na chwilę i odłożył gazety na jeden ze stolików. Czuł się dziwnie klaustrofobicznie, jakby pomieszczenie zamykało się wokół niego, nie chcąc go wypuścić. Najchętniej wróciłby na zewnątrz. W czerwcu 1926 roku ten ogromny salon musiał być pełen ludzi, którzy nagle z jakiegoś powodu wstali i wyszli, a budynek zamknięto i przez sześćdziesiąt dwa lata nikt tu niczego nie dotykał.

Wciągnął powietrze. Było zimniejsze niż na zewnątrz i podobnie jak w oranżerii unosił się w nim kwaśny zapach octu.

Wyteżył słuch, ale słyszał jedynie stukot kropli deszczu o dach. Rozejrzał się i pomyślał, że można by tu urządzić bar koktajlowy... Długie lustro, stylizowane na antyk, biegnące przez całą ścianę, kontuar z marmurowym blatem, złożone krzesła, też stylizowane na antyki. Podszedł do lekko uchylonych drzwi prowadzących do kolejnego pomieszczenia. To miejsce mogłoby mieć niesamowity styl...

Otworzył drzwi i wszedł do otoczonego galerią ogromnego holu o wysoko sklepionym suficie. Po obu stronach znajdowały się prowadzące na piętro marmurowe schody. Cóż

za wspaniałą hol recepcyjny! Z sufitu zwisał wielki żelazny żyrandol, omotany płachtami pajęczyn wyglądających jak zsuwający się całun. Podłogę wyłożono płytkami białego i czerwonego marmuru tworzącymi szachownicę, ale teraz pokrywała ją gruba warstwa kurzu i piachu, kawałki tynku i gałązki z ptasich gniazd.

U stóp jednych i drugich schodów stały identycznie wyglądające, naturalnej wielkości posągi świętych w biblijnych szatach – z zamkniętymi oczami. Jack podszedł do pierwszego z nich i długo mu się przyglądał. Nie umiał powiedzieć, dlaczego te twarze z zamkniętymi oczami tak go niepokoiły. Kto, do cholery, robi posągi z zamkniętymi oczami? Czy te postacie mają przedstawiać kogoś martwego albo śpiącego? A może nie chcą na nas patrzeć, kiedy my patrzymy na nie?

Niezależnie od przyczyny, nie podobało mu się to. Miał niemiłe odczucie, że kiedy się odwróci, kamienne figury otworzą oczy i zaczną się w niego wpatrywać.

Wszedł na kilka schodków.

– Halo? Halo! – zawołał znowu. – Jest ktoś na górze?

Jego słowa nie odbiły się echem, jednak gdzieś w głębi budynku rozległ się odgłos przypominający szuranie łąp lub stóp. Co to mogło być? Wiewiórka? Ptak? Chłopak, który wie, że źle zrobił, przebiegając bez rozglądania się przez drogę, i teraz ukrywa się w którymś z pokojów na górze?

– Halo?! Słyszysz mnie?

Pokonując po dwa, trzy stopnie naraz, wszedł na piętro. Kiedy dotarł do podestu, odwrócił się i popatrzył na rzeźby w holu. Światło dnia zaczynało powoli blaknąć, ale z obu figur emanował dziwny blask, jaki miewa tylko kość słoniowa. Żadna z postaci nie otworzyła oczu, żadna się nie

poruszyła. Jack, mój drogi przyjacielu, powinieneś poskromić swoją wyobraźnię, powiedział sobie.

Górny podest schodów znajdował się mniej więcej w połowie długiego korytarza, biegnącego przez cały budynek ze wschodu na zachód. Panował w nim mrok, jednak na pokrytej linoleum podłodze widać było odbłask światła.

Jack wyjął z kieszeni monetę i podrzucił ją w górę.

– Orzeł: na wschód, reszka: na zachód – mruknął pod nosem.

Moneta upadła na podłogę orłem do góry.

Ruszył w kierunku wschodniej wieży. Korytarz był nie tylko bardzo długi, lecz także wąski i pozbawiony okien, jednak Jack doszedł do wniosku, że wybicie kilku otworów okiennych nie będzie problemem. Po obu stronach ciągnęły się szeregi pomalowanych na kremowo i pozamykanych drzwi. We wszystkich był mały judasz zakryty odchylaną mosiężną klapką. Zajrzał do kilku pokoi. Stały w nich tylko pojedyncze krzesła i łóżka, a w jednym nie było żadnego mebla – na podłodze leżał jedynie materac.

Co sześcioro drzwi na tył domu odchodziły krótkie korytarzyki, kończące się oknem zakrytym pomalowaną na czarno stalową siatką o bardzo drobnych sześciokątnych oczkach, która pochłaniała przynajmniej połowę światła. Jack ze zdziwieniem stwierdził, że siatki nie przymocowano nitami ani śrubami, ale przyspawano. Wydało mu się to dość absurdalne: właściciel budynku zabezpieczył wszystkie okna na piętrze, nie pomyślał jednak o ochronie parteru.

Wszedł do pierwszego bocznego korytarzyka, zatrzymał się przy oknie i wyjrzał na zewnątrz. Przez zaklejoną kurzem siatkę i brudną szybę widział fragment kortów, róg basenu i ogród, który czas zamienił w plątaninę chwastów.

Stał przy oknie przez kilka minut. W dalszym ciągu padał deszcz, niebo miało barwę granitu z Barre, a trawa nabrała zjadliwego zielonego odcienia. Jack popatrzył na zegarek. Było wpół do piątej – dotrze do domu dopiero po zmroku.

Na końcu głównego korytarza znajdowały się podwójne dębowe drzwi – zamknięte i dodatkowo zabezpieczone stalowym skoblem z masywną kłódką. Szarpnął, ale kłódka mocno trzymała. Cokolwiek znajdowało się we wschodniej wieży, właściciele domu najwyraźniej nie zamierzali pozwolić tam nikomu wejść. Może cenna biblioteka albo zbiór sztuki? A może po prostu zawaliły się podłogi i drzwi zamknięto ze względów bezpieczeństwa?

Z lewej strony zobaczył wąskie schody, prowadzące na kolejne piętro.

Na ścianie obok nich znalazł kontakt, więc zaczął go przełączać, jednak światło się nie zapaliło. Prawdopodobnie w całym budynku trzeba będzie wymienić instalację elektryczną – od piwnicy aż po dach.

W połowie klatki schodowej znajdowało się okno – również zabezpieczone stalową siatką. W kilku miejscach była powgniatana, jakby rzucano w nią czymś ciężkim.

Jack postawił stopę na pierwszym stopniu, lecz znowu się zawahał. Robiło się późno, zapadał zmrok, a on nie miał latarki. Może powinien uznać tę sprawę za zakończoną i pomyśleć o powrocie do domu. Maggie pewnie niedługo zacznie się denerwować, że indyk na kolację wyschnie na wiór. Zawsze był bardzo punktualny, a kiedy przypuszczał, że może się spóźnić, dzwonił.

Ale jeszcze nigdy w życiu nie natknął się na nic podobnego do tego budynku – taka okazja pewnie mu się już nigdy nie trafi. Warto było zaryzykować. Jakie znaczenie mogła

mieć jedna zmarnowana kolacja Głodnego Człowieka?

Ruszył dalej. Jego buty głośno skrzypiały przy każdym kroku. W którymś momencie zdawało mu się, że usłyszał jakiś dźwięk, więc się zatrzymał i wyteżył słuch.

Był to dziwny drapiący szelest, jakby coś wleczono albo mieszano beton, ale tak niewyraźny, że nie dało się określić, skąd dobiega. Trwał jedną sekundę, może dwie i Jack nie był pewien, czy w ogóle cokolwiek słyszał.

Stał nieruchomo, aż zaczął drętwieć mu kark, lecz wokół panowała cisza. Może to woda zabulgotała w studzienkach, może po dachu buszowały wiewiórki?

Ruszył dalej, tym razem jednak starał się nie robić hałasu. Następny podest był znacznie mroczniejszy i mocniej pachniało na nim octem. Pewnie to zwierzęcy mocz. Prawdopodobnie cały ten dom był jednym wielkim hotelem dla tchórzy, skunksów, wiewiórek i ptaków. Jack widział kiedyś, jak zrywano dach z domu na przedmieściach Madison. Od pięciu lat gnieździły się pod nim wiewiórki i wszystkie wolne przestrzenie pod dachem wypełniły przyniesionymi nie wiadomo skąd kawałkami wełny mineralnej, w której tkwiły rozkładające się ciała młodych. Smród truchła był nie do wytrzymania i od tamtej pory Jack już nigdy nie uważał wiewiórek za miłe zwierzątka.

Szybko rozejrzał się po korytarzu drugiego piętra, ale przypomniał sobie, że twarz dzieciaka widział w jednym z mansardowych okien – jeśli to w ogóle była twarz dziecka, a nie sowa, gołąb czy przypadkowe odbicie światła od szyby. Wrócił na schody i ruszył na samą górę. W połowie klatki znowu było okno, także zabezpieczone stalową siatką.

Wydawało się to dość dziwne, bo stalową siatkę zazwyczaj mocuje się po zewnętrznej stronie okien, by

włamywacze nie mogli wybić szyby kamieniem i dostać się do środka. Tutaj jednak najwyraźniej chodziło o to, żeby nie wybito szyb od środka.

Dlaczego dawny właściciel tego domu miałby zabezpieczać okna przed samym sobą?

Dotarł do ostatniego podestu. Choć była to góra budynku, czuł się tu jeszcze bardziej osaczony niż na dole. Gdyby chciał w pośpiechu uciec na zewnątrz, musiałby zbiec po trzech schodach, przebiec długim, wąskim korytarzem, znowu zbiec po schodach, a potem przebiec przez hol, salon i oranżerię.

Postać przez chwilę, aby wyrównać oddech. Do tej pory nie zauważał u siebie objawów klaustrofobii, ale w tym budynku było coś takiego, co sprawiało, że czuł się jak w pułapce. Prawdopodobnie chodziło o okna osłonięte siatką. A także o pozamykane na całej górze drzwi.

Ruszył biegnącym wzdłuż całego poddasza mrocznym korytarzem. Niewiele przed sobą widział, więc przesuwał dłoń po górnej krawędzi mającej nieco ponad metr wysokości dębowej boazerii. Zatrzymywał się przy każdych drzwiach i naciskał klamkę. Jeśli dzieciak wyglądał przez któreś z mansardowych okien, jeden z tych pokoi musiał być otwarty i znalezienie jego kryjówki było jedynie kwestią czasu.

– Halo! – zawołał. – Jest tu kto?

Szarpnął za kolejną klamkę, ale i te drzwi były zamknięte. Podszedł do następnych. Znowu zamknięte.

W połowie korytarza wydało mu się, że słyszy takie samo drapanie jak poprzednio. Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Dziwny odgłos dochodził gdzieś z tyłu, zza jego pleców, przypominał szuranie ciągniętego po podłodze worka

z cementem i zdawał się przybliżać.

Odwrócił się, czując mrowienie na karku. Nikogo za nim nie było. Mimo mroku wyraźnie widział, że korytarz jest pusty.

Szuranie jednak nie znikало. *Szszszszhhhhh-szszszszszhhhhh-szszszszhhhhh*.

Jack jeszcze przez chwilę nasłuchiwał, po czym nieco szybszym krokiem ruszył w stronę zachodniej wieży, oddalając się od niepokojącego dźwięku. Nacisnął jeszcze trzy klamki, ale ponieważ dziwne szuranie wciąż się zbliżało, zaczął biec truchtem. *Szszszszhhhhh-szszszszhhhhh-szszszszhhhhh* nieubłaganie sunęło wzdłuż ścian, przerywane głuchymi puknięciami przy każdych drzwiach.

Brzmiało to tak, jakby coś olbrzymiego, ale niewidzialnego ścigało Jacka po korytarzu, ocierając się o ściany i szarpiąc za drzwi. Drapiący szelest nasilał się i przyspieszał.

Szszhhh-puk!-szszhhh-puk!-szszhh-puk!

Jack jeszcze bardziej przyspieszył i po chwili zaczął biec. Ciemne kontury korytarza podskakiwały mu przed oczami. Modlił się, aby na jego końcu również była klatka schodowa. Kiedy zaczął biec, do głowy mu nie przyszło, że może być tylko jedna.

Szuranie doganiało go. *Szszhhh-puk!-szszhh-puk!* Jack nie miał pojęcia, co to takiego i co może mu zrobić, ale chciał wydostać się stąd jak najszybciej.

Wreszcie dotarł do końca korytarza i zobaczył schody. Pokonując po cztery, pięć stopni naraz i po każdym skoku łapczywie wciągając powietrze, pomknął w dół. Dziwny odgłos podążył za nim: *szakka-takka-szakka-takka*.

Złapał za poręcz i zeskoczył z ostatnich sześciu schodków, ale się poślizgnął i jego kostkę przeszył ostry ból.

Kulejącym sprintem dobiegł korytarzem na pierwszym piętrze do kolejnych schodów, niemal z nich sfrunął, minął hol, salon, wpadł do oranżerii i po kilku sekundach wybiegł na zewnątrz.

Zdyszany, odwrócił się. Cokolwiek go goniło, na otwartym terenie mógł temu stawić czoło. Na wszelki wypadek wyciągnął z obramowania podjazdu obluzowaną cegłę i ścisnął ją w dłoni.

Po chwili znów usłyszał przelatujące przez salon *szszhhhhhhh* i drzwi otworzyły się z trzaskiem. Oranżeria zadygotała, jakby wjechał w nią samochód, i na marmurowej podłodze roztrzaskało się kilka szyb.

Jack cofnął się o krok i zamachnął cegłą, jednak w tym samym momencie zapadła cisza. Odczekał kilkanaście sekund, ale dziwny dźwięk nie powracał. Słyszać było jedynie szum deszczu i dolatujący z oddali krzyk ptaka: *piiwwuu! piiwwuu!*

Podszedł ostrożnie do oranżerii i zajrzał do środka.

– Halo! – zawołał.

Nikt mu nie odpowiedział, bo w oranżerii nikogo nie było.

Przez chwilę słuchał swojego szaleńczo walącego serca, po czym ponownie wszedł do środka. Nie może dać się temu budynkowi zastraszyć. Przyprowadził go tu los, więc zrobi wszystko, aby w tym miejscu powstał Merrimac Court Country Club, którego właścicielem i prezesem będzie Jack T. Reed junior.

Ty debil! – zbeształ się w myślach. Słyszałeś tylko własny oddech albo szum krwi w uszach – tak samo jak po przyciśnięciu do ucha muszli słyszysz szum morza. Dałeś się zwariować.

Podniósł pękniętą szybę, która wypadła z dachu oranżerii. W tym też nie kryła się żadna tajemnica. Drzwi prawdopodobnie zatrzasnął przeciąg, a metalowa konstrukcja jest tak skorodowana, że wypadnięcie kilku szyb nie powinno dziwić.

Wrócił do salonu. Było w nim tak samo pusto jak poprzednio. Nic się nie zmieniło. Nie przewróciło się ani jedno krzesło. Gdyby coś go rzeczywiście ścigało, na pewno by to zobaczył, prawda? Wziął jedną z gazet, wrócił do oranżerii i zamknął za sobą drzwi.

Nie do końca był przekonany, że słyszał jedynie szumiącą w uszach krew, ale przecież duchy nie istnieją, a to, czego się nie widzi, nie może zrobić krzywdy. Mogła to być wiewiórka biegająca wewnątrz ścian poddasza. Prawdopodobnie tak właśnie było. Cholerna wiewiórka, pewnie próbowała go przegonić, chroniąc swoje młode. Choć małe, wiewiórki potrafią dać się ludziom we znaki. Zwłaszcza te leśne.

Podczas inspekcji budynku będzie musiał poprosić rzeczoznawcę o sprawdzenie znajdujących się w ścianach pustych przestrzeni, a potem przegoni te głupie zwierzaki.

Mimo że deszcz przestawał padać, zrobiło się niemal zupełnie ciemno. Jack jeszcze raz obszedł cały dom, próbując oszacować, ile może kosztować jego remont. Oderwane rynny, brakujące płytki, przerdzewiałe elementy metalowej konstrukcji, instalacja elektryczna...

Daj spokój, Jack, to wymaga mnóstwa pracy i wyrzeczeń. Lepiej będzie, jeśli stąd odejdziesz i wrócisz do Milwaukee, do Tłumików i Opon Reeda.

Łatwo powiedzieć. Zdawał sobie sprawę, że od dziś nic już nie będzie takie samo. Uwiodła go bardzo ponętna

starsza pani, której już nigdy nie zapomni.

Z trudem przebijając się przez krzaki, drzewa i paprocie, powoli oddalał się od budynku. Kiedy już niemal dotarł do ogrodzenia z drutu kolczastego, ujrzał leżącą wśród zielska tablicę. Schylił się, żeby ją podnieść, ale stwierdził, że jest pokryta czarnymi ślimakami. Odwrócił drewniany prostokąt stopą.

Choć prawie całą tablicę pokrywały zielone porosty, można było dostrzec słowa: ...WŁASNE RYZYKO. Pozwolił jej opaść na poszycie, po raz ostatni popatrzył na przyszyły Merrimac Court Country Club, po czym przecisnął się między drutami i wrócił do samochodu.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).